

PIOTR SEMLA

# SANATRIS



Wszechświat mieści  
wiele dusz...  
a czy jedna dusza  
może pomieścić wszechświat?

**PIOTR SEMLA**  
**SANATRIS**

**PIOTR SEMLA**

**SANATRIS**

**© Copyright by Piotr Semla**

Projekt okładki: Piotr Semla

(Materiał na okładkę: [www.pixabay.com](http://www.pixabay.com) / licencja CC0)

**WERSJA DEMONSTRACYJNA**

Piotr Semla

Self-publishing

[piotrsem1@gmail.com](mailto:piotrsem1@gmail.com)

Zapraszam na moją stronę autorską:

[www.piotrsem1.pl](http://www.piotrsem1.pl)

**Wszelkie prawa zastrzeżone. Kopiowanie,  
rozpowszechnianie całości lub fragmentu bez pisemnej  
zgody autora zabronione.**

Zbieżność osób i nazwisk zawartych w książce jest  
przypadkowa.

Wydanie I, 2016

*Dla tej jednej spośród planet,  
która mnie ocaliła...*

# *Spis treści*

*Wstęp*

- 1. Podróż*
  - 2. Błękitna planeta*
  - 3. Pytania*
  - 4. Asystent*
  - 5. Niewolnicy*
  - 6. Przełom*
  - 7. Teoria chaosu*
  - 8. Tajemnica życia*
  - 9. Rekonwalescencja*
  - 10. Zapowiedź przyszłości*
    - 11. Nowa Genesis*
    - 12. Szalony plan*
  - 13. Okiełznać nieskończoność*
    - 14. Przebudzenie*
  - 15. W poszukiwaniu prawdy*
    - 16. Goście*
  - 17. Prawo Murphiego*
  - 18. Początek końca*
  - 19. Weź moją dłoń*
  - 20. Nasza Sanatris*
- Zakończenie*

---

*Zmierzaj wyłącznie tam, gdzie twoje serce,  
zrób to i więcej o nic nie pytaj,  
bo kiedy podążysz za swoim sercem,  
cały wszechświat podąży za tobą.*

---

## *Wstęp*

### *Rok 1997*

Austriacki fizyk Anton Zeilinger wraz z zespołem naukowców dokonują pierwszej kwantowej teleportacji pomiędzy dwoma fotonami...

### *Rok 2031*

W wyniku inicjatywy miliardera i pioniera w dziedzinie astrofizyki Williama Bradleya powstaje Międzynarodowa Elitarna Jednostka do Badań Astronomicznych MEJBA. Współpracując z głowami państw i największymi organizacjami międzynarodowymi zyskują kolosalne środki na badania naukowe z zakresu fizyki kwantowej.

W tym samym czasie do masowej produkcji zostają wprowadzone roboty pod względem funkcji przypominające ludzi. Roboty z czasem zaczynają zastępować ich w niemal każdej czynności...

### *Rok 2038*

Zespół pod kierownictwem Williama Bradleya nadaje atomowi cezu właściwości elektronu. Trzy tygodnie później

udaje się wypełnić powłokę atomu ołowiu zmodyfikowanymi atomami cezu.

W ciągu następných miesięcy wymiana właściwości atomu i elektronu prowadzi do odkrycia formy zawieszanej pomiędzy jednym stanem a drugim. Nazwaną ją „materią fotonową”. Pozwoliła ona przechwytywać właściwości cząsteczek, czyniąc je same swoim własnym stanem fotonowym, a bazując na odkryciu Zeilingera, dokonano przemieszczenia tego stanu pomiędzy dwoma splątanymi ośrodkami, by na koniec przekształcić do pierwotnej postaci.

Przed końcem roku udaje się dokonać teleportacji kartki papieru z bazy na orbicie ziemskiej do tajnej bazy MEJBA w galaktyce Andromedy.

### *Rok 2040*

William Bradley przeznaczą znaczną część zatajonego budżetu MEJBA i patentuje wyspecjalizowaną serię sond wyposażonych w napęd fotonowy. Wykorzystując środki z projektu potajemnie konstruuje sondę poruszającą się z prędkością nadświatlną. Rozpoczyna się produkcja coraz szybszych pojazdów, regularnie teleportowanych do odległych sond, z których każda posiada materię fotonową splątaną ze swoim odpowiednikiem w tajnym sektorze teleportacji.



### *Rok 2058*

Sonda badawcza Pion-AK94 napotyka istnienie planety podobnej do ziemi. Fakt ten, podobnie jak reszta odkryć, zostaje utajony. Planecie nadano nazwę Sanatris.

Sonda na bazie inteligentnego programu, ukrytych w niej materiałów i splątanego segmentu materii fotonowej ze swoim odpowiednikiem, znajdującym się w tajnej bazie kosmicznej MEJBA, tworzy na powierzchni Sanatris portal, przez które zostaje przeteleportowany jeden z największych wielofunkcyjnych statków MEJBA. Powstała baza staje się ośrodkiem dalszych badań, które w celu stworzenia pomocy w eksploracji planety wzbogacono o genetykę. W tym samym roku w wyniku projektu SC-A powstaje dwudziestu czterech ludzkich klonów.

### *Rok 2059*

Pół roku później miejsce projektu SC-A ma zastąpić projekt SC-Omega, zmierzający w stronę przeznaczenia Sanatris do sieci laboratoriów służących do masowej produkcji syntetycznych ludzi, których celem będzie zastąpienie ziemskich robotów, tym samym zmieniając MEJBA w

największą korporację w dziejach i dając jej nieograniczone  
środki na dalsze badanie wszechświata...

# 1. *Podróż*

*Centrum dowodzenia MEJBA – orbita ziemska. 10 listopada  
2059*

Tytanowe drzwi rozsunęły się bezdźwięcznie. Znaleźli się w pustym korytarzu, rozświetlonym niemal na biało za sprawą olbrzymich sufitowych halogenów. Ruszyli wzdłuż błękitnych neonowych linii, które w oślepiającym, przysłaniającym ściany świetle, przypominały mistyczną balustradę, pośród futurystycznego chaosu wyznaczająca drogę ku niezmaconemu przeznaczeniu.

– Wciąż nie rozumiem, w jaki sposób hipoteza wzajemnej zależności cząsteczki i fali okazała się słuszna – powiedział siwiejący mężczyzna w okularach i laboratoryjnym fartuchu, wyrażając niezrozumiałą (w jego przypadku) pokorę wobec prac naukowych, w których odegrał kluczową rolę, i które miały miejsce ponad dziesięć lat wcześniej. – Gdybyśmy sprzedali ten patent, zostalibyśmy najbogatszymi ludźmi na ziemi.

Towarzyszący mu, o głowę wyższy energiczny mężczyzna w garniturze, którego można by posądzić o zupełny brak

emocji dla tej chwili (gdyby nie jego iskrzące się spod pomarszczonego czoła i podrygujące w geście ekscytacji oczy), spojrzął na naukowca, po czym dumnie uniósł twarz w stronę jaskrawego światła jarzącego się znad futryny, nazbyt gęsto naszpikowanej błękitnymi reflektorami.

– Pieniądze – rzekł ostentacyjnie. – Mógłbyś kupić więcej krajów, niż kiedykolwiek zwiedziłeś, a twoje dzieci nigdy nie będą w stanie roztrwonić odsetek płynących z twoich kont bankowych.

– Dzieci... – powtórzył bezwiednie. – Nie chcą mnie znać. Gdyby tylko pieniądze potrafiły do nich przemówić...

– Stary druhu. – Wystrojony mężczyzna położył dłoń na ramieniu towarzysza. – Musisz się w końcu pogodzić z faktem, że jedni wierzą w marzenia, inni w rzeczywistość. Twoje dzieci teraz tego nie doceniają, ale kiedyś zrozumieją, że jesteś jednym z najważniejszych ludzi na świecie. I pieniądze wcale nie odegrają w tym kluczowej roli. – Zdjął dłoń z jego ramienia i przystanął przed tytanowymi drzwiami, w które wpatrywał się przez większość drogi. Obok nich widniał napis, wygrawerowany w tabliczce wtłoczonej w metalową ścianę: „SALA OBRAD DOWÓDZTWA”. – Alexandrze – kontynuował – dokonaliśmy największego odkrycia w dziejach ludzkości. Po co nam bogactwo i sława na ziemi, skoro

możemy mieć własne planety? Jesteśmy ojcami nowego świata, a ludzie, którzy staną się jego częścią, będą uważać nas za bogów. Chcesz, żeby ziemianie nam to odebrali? – Jego oczy przestały podrygiwać i beznamiętnie wyczekiwały odpowiedzi na pozornie retoryczne pytanie.

– Nie zapominaj, że sam jesteś ziemianinem – odpowiedział naukowiec.

W reakcji na konserwatywność usłyszanych poglądów pokręcił nieznacznie głową, po czym tonem, który w założeniu wyraża oczywistość treści dla każdego z rozmówców, odrzekł:

– Technologia, jaką posiadamy, pozwala nam odbywać nieograniczone przestrzenią podróże po wszechświecie. Skoro istnieją dwie zielone planety, z pewnością odnajdziemy ich więcej. Kim wtedy będą dla nas ludzie, skoro oni mają tylko ziemię, a my... cały wszechświat?

Alexander z niedowierzania absurdowi usłyszanych słów rozszerzył lekko oczy, ale świadomość podręcznikowej wyższości swojego zwierzchnika nie pozwoliła mu podkreślić, że jego osobiste odczucia mają jakiegokolwiek znaczenie w tej relacji.

– Wszechświat? – zapytał tonem ekonomisty. – Sondy, które utraciliśmy w kolizji z ciałami niebieskimi, pochłonęły

większość pieniędzy, a znaleźliśmy na razie tylko jedną malutką planetę. W dodatku zajęło nam to wiele lat...

– I właśnie po to zwołałem to zebranie – odpowiedział ze stoickim spokojem, który jakby z oddali zaczynał przeszywać roziskrzający się płomień dumy, wymieszanej z wyczekiwaniem na moment zdziwienia rozmówcy, niczym iluzjonista inicjujący chwilę mistycznej ciszy przed kulminacyjnym show. – Za chwilę dowiesz się, skąd weźmiemy pieniądze. – Zręcznym ruchem, w wyniku którego z rękawa powinny posypać się nominowane przez publiczność karty, podniósł dłoń i przyłożył ją do niewielkiego wygaszonego monitora obok drzwi. W tej chwili przez ekran przemknęła linia niebieskiego światła, które odbiło się na białej dłoni mężczyzny, i niemalże w tej samej chwili miejsce skanera laserowego zajęła trójwymiarowa twarz pięknej (choć trochę zmechanizowanej) kobiety, która z wypracowanym uśmiechem zaapelowała:

– Witaj panie Williamie Bradleyu. Zebrani czekają na sali obrad.

Drzwi z dyskretną precyzją rozsunęły się, ukazując wielkie tak jasno oświetlone jak korytarz (i jak wszystkie inne pomieszczenia statku) owalne pomieszczenie. Linie neonowych lamp, tworzące pierścienie (które niezależnie od

punktu widokowego sprawiały złudne wrażenie spirali), otaczały metaliczny stół, obsadzony przez ponad dwadzieścioro ubranych w białe stroje osób, czekających w ceremonialnym skupieniu. W odpowiedzi na widok swojego zwierzchnika grono naukowców podniosło się z krzesel, symbolicznie witając go kiwnięciem głowy.

Kiedy dwójka przybyłych półkolem ominęła stół i skierowała twarze w stronę wejścia, dwie półprzezroczyste płytki przytwierdzone do srebrzystej podłogi oderwały się od niej i przybrały kształty siedzeń, połączonych z podłogą jedynie cienkimi szyjkami. Gdy Alexander – niczym strudzony mężczyzna wracający do domu po całym dniu ciężkiej pracy, dalekich podróży i wysoce filozoficznych przemyśleń – rzucił się na siedzenie, ugięło się ono i przechyliło w tył (lecz w drodze do zmiany w leżak zatrzymało się, by wciąż zachować wszystkie cechy oficjalnego krzesła), a kiedy opuścił ręce, z oparcia wynurzyły się dwa podłokietniki, które pozwoliły zająć mu najwygodniejszą pozycję. Krzesło Bradleya po aktywacji znajdowało wyżej od pozostałych, dzięki czemu przyciągał uwagę wszystkich podwładnych, jednocześnie podkreślając fakt, że w ich społeczności nie istnieje jakakolwiek arkadyjska zasada równości.

– Zapewne zastanawiacie się, po co was tutaj sprowadziłem – rozległ się wyrazisty i niemal namacalny głos, za którym próbowały podążać jego czarne oczy (teraz zamiast podrygiwać, zaczęły płonąć nieproporcjonalnie silnie rozbudzoną żarliwością dla w porywach lekko nadzwyczajnych okoliczności). – Przerywanie pracy w laboratorium to bezprecedensowe wykroczenie, niezasługujące na jakiegokolwiek okoliczności łagodzące, jednakże pojawiła się sposobność, która w najbliższym czasie uwieńczy waszą pracę nieograniczonymi, w porównaniu z dotychczasowymi, możliwościami. – Rozejrzał się po twarzach naukowców, by upewnić się, że wszyscy darzą treść jego słów dostatecznie satysfakcjonującą go uwagą. – Powiem wprost: chodzi o pieniądze. Finasowanie badań i konstruowanie sond niebawem zbliżą nas do zgłębienia tajemnicy, która rok temu pokazała nam, że wszystkiego na świecie można dotknąć. Wystarczy tylko dostatecznie wysoko wyciągnąć rękę.

By wypełnić ekscytacją chwilę niepewności, podniósł dłoń, w której błyszczał błękitny marker (nie był jednak narzędziem służącym do pisania: stanowił zarówno nośnik pamięci, jak i klucz do uruchomienia projektora sali obrad). Kiedy docisnął przyłożony do jego końca kciuk, powierzchnia stołu rozbłysła kolorem grantowym, a wysoko nad nim pojawiła się



trójwymiarowa projekcja... Jawiła się jako wirująca kula ziemską i krążące na jej orbicie statki należące do MEJBA: największy z nich jasno rozświetlono i każdy z zebranych doskonale zdawał sobie sprawę z faktu, że obrazuje on główny statek dowodzący, w którym aktualnie się znajdowali.

– Ziemia...

Głos Williama przywdział szaleńczy ton człowieka przekonanego, że jest kimś nadzwyczajnym, kto przerasta nie tylko istotę własnej egzystencji, ale także istotę wszelkiego istnienia. W tejże chwili atrapa ziemi zaczęła się powiększać, a oceany, wzgórza, kontynenty stawały się coraz wyraźniejsze; w mgnieniu oka zbliżenie obrazu sprawiło, że nad stołem znalazła się wizja wielkiego budynku, fabryki, a z jednego z otwartych drzwi wynurzał się wężyk ludzi (lub robotów wyglądających jak ludzie). Wyimaginowana kamera wślizgnęła się do środka, by na chwilę zatrzymać się przy wewnętrznych drzwiach, gdzie stał olbrzymi, niemal trzymetrowy mężczyzna o nieruchomej twarzy, pilnujący dostępu do głównego pierścienia fabryki: laserowym skanerem umieszczonym w gałce ocznej rewidował informacje zawarte w neurotycznym obiegu elektrycznym niższego od siebie robota, który kilka sekund wcześniej stwierdził rażąco nienamiętnym głosem: „Zamiennik Petera Burrowsa,

kierownika utrzymania ruchu”. Następnie kamerzysta incognito przeszył profil strażnika i ukazał oczom naukowców wielką halę, gdzie setki maszyn obstawiających niemiłosiernie długie taśmy produkcyjnie w zamęcie jaskrawych błysków, zgrzytliwych trzasków i ogłuszających pisków tworzyły ludzko podobne do ludzi roboty.

– Zmechanizowany świat, w którym najbardziej chodliwym towarem są roboty wyręczające ludzi we wszystkim, co niewygodne, spełniające wszystkie pragnienia, których bez ich pomocy nie potrafiliby ziścić, miejsce, gdzie wszyscy wierzą, że suma części składowych to nic więcej jak tylko suma części składowych. Upadek wartości, które promowała archaiczna już poezja i literatura, zapoczątkowała era maszyn, wirtualnych doznań i abstrakcyjności istnienia. – Spojrzał na Alexandra, który jako jedyny nie wyglądał na porwanego jego wspaniałomyślnością i przekonaniem o nadludzkiej mocy. – Teraz czas to zmienić, zastąpić maszyny ludźmi... prawdziwszymi, żywszymi, tańszymi w produkcji...

– Tańszymi? – Mistyczne oczekiwanie na puentę Bradleya przerwał kobiecy i niebywale delikatny (lecz absurdalnie racjonalny w tej chwili) głos. Brwi Alexandra lekko uniosły się i spojrzały na subtelną twarz Sophie Collins, podobnie jak on dośmiertnie związanej z MEJBA, jednak w przeciwieństwie do

niego od początku zupełnie niepasującej do tego miejsca. Po wyrazie jej szafirowych oczu nie można było odczytać jej myśli, lecz kiedy zaczynała mówić, słowa nadawały jej spojrzeniu wyraz niezwykle samoświadomej osobowości. – Mówisz o klonowaniu?

– Cóż za bystrość, panno Collins. – Rzucił jej przenikliwe spojrzenie, po którym, nie przerywając wciąż iskrzącego się w jego umyśle uroku bycia Panem Wszechświata, rozejrzał się po twarzach pozostałych, by upewnić się, że wątpliwości Sophie nie zaburzyły ich uwagi oraz (przede wszystkim) podziwu. Uwięzione w fabryce, nieświadome śledzenia roboty dalej wprawiały w ruch wizualizacje. – Jednakże już od kilku miesięcy słowo „klonowanie” nie jest odpowiednie dla naszej działalności. Mówię o syntetycznych ludziach, iście doskonałych, dokładnie takich, jakich życzą sobie ludzie na ziemi. Czyż projekt SC-A, który prowadzimy, nie podlega tym właśnie kryteriom? – Spojrzał na Sophie i poczekał aż treść jego słów stanie się niezmaconą prawdą w umyśle każdego z zebranych. – Mam rację, panno Collins?

– Projekt SC-A obejmował stworzenie dwudziestu czterech ludzkich klonów w celach zarówno badawczych jak i pomocy przy pracach na Sanatris. – Odpowiedziała inteligentnym i zdecydowanym tonem, nie sposób było wprowadzić ją w

zakłopotanie. – W celu utrzymania tajemnicy odkrycia Sanatris okazali się niezbędni...

– To ofiary – przerwał William. – Pod domeną każdego postępu jak i utrzymania porządku kryją się ofiary. Aby ochronić naszą małą planetę przed ludźmi, potrzebowaliśmy garstki nieetycznych, w twoim zamyśle, klonów... Żeby pójść dalej, musimy mieć ich więcej...

– Mówisz o imperium klonów! – Ton jej głosu zmienił surrealistyczny monolog Bradleya w wyniesioną dyskusję, która tylko dodała spotkaniu upragnionej sceniczności. – Żeby je stworzyć, będzie trzeba wypełnić Sanatris laboratoriami i ośrodkami przystosowującymi je do życia na ziemi. Chcesz na to poświęcić „cud”, który odkryliśmy?

William Bradley westchnął, dając znać, że jednak nadmierna emocjonalność nie tyle stoi na drodze do wykonania jego planu, co jest po prostu nieistotna. Spojrzał na projekt, a palec przyciskający marker rozlał wizualizację fabryki robotów, wskutek czego z barwnego chaosu wyłoniła się okrągła błękitna planeta.

– Dowód – stwierdził finalnym tonem. – Sanatris to dowód naszych możliwości. To maleńki, niemal zupełnie pozbawiony hydrosfery, pożywienia i jakichkolwiek cennych surowców zlep pospolitych pierwiastków. To dowód, tylko dowód. – Jego

ostatnie, nad wyraz zaakcentowane słowo, zawisło w powietrzu i wirowało w umysłach naukowców, gotowych niesprzecznie przyznać rację swojemu zwierzchnikowi.

– Lecz czy właśnie w tym nie tkwi tajemnica Sanatris? – Sophie przerwała chwilę ciszy. – Jest bogata w roślinność, choć nie dociera do niej światło słoneczne; nie posiada mórz, oceanów, a nawet rzek; jest idealną kulą, bez wybrzuszeń i wklęsłości, choć nie ma swojego satelity, który by na nią oddziaływał. – Wszyscy wokół spojrzeli na nią z zaciekawieniem, a niezmacone naturalną (w towarzystwie Williama) niepewnością słowa utwierdzały ich w roli zahipnotyzowanego obserwatora, który pozbawiony umiejętności zastanawiania się nad treścią przekazu samorzutnie uznaje ją za dogmat. – Nie krąży wokół żadnej gwiazdy, nie obraca się dookoła własnej osi, nie jest w ruchu... a to przeczy wszelkim prawom fizyki. I nawet najlepszy na świecie zespół wybitnych geniuszy, posiadający aparaturę, z której korzystamy, lecz wciąż nie możemy pojąć jej działania, nie potrafi po niemal roku skrupulatnych badań podać jakiegokolwiek przyczyny praw rządzących tą planetą. Masz rację, Williamie, to dowód... ale nie naszych możliwości, tylko tego, że tak naprawdę wcale ich nie posiadamy.

Wszyscy spojrzeli na Bradleya wyczekując odpowiedzi, która oświecając ich umysły przyodzieje płaszczyznę nieskazitelności i pozbawi wszelkie pytania przyczyn ich powstania.

– Szansa odnalezienia drugiej planety podobnej do ziemi jest znikoma – zaczął – ale skoro się nam trafiła, można łatwo wywnioskować, że biorąc pod uwagę zakres prawdopodobieństwa cechujący nieskończoność wszechświata, istnieje nieskończona liczba takich planet... – Zbliżył nieznacznie twarz w stronę Sophie, wnikliwie wpatrując się w jej nieuległe spojrzenie. – ...nieskończona liczba tajemnic do zbadania, nieskończona liczba pytań i odpowiedzi... być może prawa działające w drodze mlecznej i wszystkich galaktykach, do których ziemianinie mają dostęp, nie sprawdzają się w bardziej odległych miejscach, gdzie nie ma nawet podziału na galaktyki. Być może w pogoni za nieskończonością poznamy uniwersalne prawa, działające w całym wszechświecie, stworzymy własną naukę, która uczyni z nas bogów... lecz nie osiągniemy tego, mając tylko jedną niewiadomą, i nie osiągniemy tego... bez pomocy syntetycznych ludzi.

Nim Collins zdążyła odpowiedzieć, Bradley wcisnął marker, a wizja Sanatris podobnie do uprzedniej projekcji ziemi zaczęła się przybliżać, by odzwierciedlić pokrytą

turkusową roślinnością powierzchni. Mącąc krajobraz flory, oczom naukowców ukazał się wielki, stojący na czterech olbrzymich odnogach statek kosmiczny: poza wierzchnim stożkowym kadłubem głównym współtworzyły go dwie pierścieniowe kondygnacje, naszpikowane okrągłymi oknami, z których jarzyło się nieskazitelnie białe światło. Pod dolną komorą napędową, na powierzchni planety znajdowała się okrągła błyszcząca platforma, którą ograniczało sześć kolosalnych słupów, które powyżej poziomu kadłuba schodziły się w ostrosłup, więżący statek. Po chwili wokół bazy zaczęły pojawiać się wielkie, metalowe budynki z ponumerowanymi sztyldami: układały się ciasno jeden obok drugiego, by w miarę sunięcia po powierzchni, obracania projekcji ciała niebieskiego i przyspieszającego tempa tego procesu zająć całą planetę.

– Drodzy kompani najwyższego kręgu wtajemniczenia MEJBA – oznajmił, powstrzymując się od zatarcia rąk, ukrywając dumę, że treść jego przekazu stała się tak gęsta, iż Sophie Collins wraz ze swoimi naiwnie humanitarnymi wątpliwościami nie mogła się już przez nią przebić, a jego kontrola nad sytuacją pozwoliła mu wrócić do odpowiedniego momentu, jakby cała dyskusja z nią nie miała miejsca. Dodatkowo, potwierdzając swoje zwierzchnictwo i bezapelacyjną rację, rozejrzał się dwukrotnie po wszystkich

twarzach. – Przedstawiam wam drugą i ostateczną wersję projektu Sanatris Clons: SC-Omega. Są to, tak jak mówiła panna Collins, laboratoria połączone z ośrodkami, wypełniające całą planetę.

Spojrzał na Alexandra, od początku zebrania równomiernie niezaciekawionego i niewzruszonego wizją projektu, zawsze potrafiącego klarownie i obiektywnie ocenić sytuację na bazie kalkulacji i zdrowego rozsądku, którego życiowe poglądy stanowią absolutną opozycję do poglądów Sophie – to właśnie skłoniło go do stworzenia z nich zespołu, o czym lada chwila mieli się dowiedzieć.

– Pieniądze i popyt – stwierdził tonem znudzonego księgowego Davies, pewny że niczego więcej nie brakuje jego wypowiedzi.

– Wszystko w swoim czasie, Alexandrze. Schemat kanałów transakcyjnych jest dokładnie przedstawiony w materiałach, które w tej chwili znajdują się w systemie, macie do nich dostęp. Nie celem jest jednak wymieniać nazwiska osób, które umożliwią nam proces inicjalizacji projektu. Oni, tak jak i wy, nie powinni zadawać niepotrzebnych pytań. A w kwestii pieniędzy, na chwilę obecną posiadamy środki i aparaturę, których wymaga faza pierwsza projektu.



– Faza pierwsza? – zapytał formalnie Alexander, wciąż nie wyrażając nawet nutki ciekawości.

– Dziesięć tysięcy skrajnie różnych prototypów, które w celach prezentacyjnych zostaną przeteleportowane na ziemię i dostarczone do naszych największych klientów. Jako dziewiczy towar luksusowy będą kosztować majątek, a pieniądze z ich sprzedaży pozwolą nam stworzyć kilkanaście nowych laboratoriów i ośrodków. To zainicjuje fazę drugą, pozwalającą na wyprodukowanie miliona egzemplarzy. Po upływie trzech miesięcy od rozpoczęcia fazy drugiej znajdziemy się w posiadaniu kapitału na pełną urbanizację Sanatris. Kilkadziesiąt tysięcy punktów taśmowo produkujących najdroższe na świecie produkty... – Zniżył głos, by nie obnażać niepotrzebnie własnych emocji, i zupełnie spokojnym tonem dokończył: – Niebawem MEJBA stanie się największą na świecie korporacją, o której potędze nie będzie wiedział nikt poza osobami znajdującymi się w tym pomieszczeniu.

– Kiedy zaczynamy projekt? – W reakcji na pytanie Daviesa wszyscy zebrani spojrzeli po sobie i zaczęli wiercić się w miejscach na znak niepotrzebującej dalszej zachęty gotowości do pracy.

– Jutro. – Daję się wyczuć drugie dno odpowiedzi Williama uciszyło salę obrad. – Alexandrze, będziesz nadzorował prace przygotowujące do fazy pierwszej projektu SC-Omega, zajmiesz się przeprogramowaniem inkubatorów i techniczną stroną projektu. Panno Collins... – zwrócił się do Sophie, której szafirowe oczy wciąż przyglądały się wirującej projekcji zurbanizowanej planety. – ...przymykam oko na brak twojej wiary w przedsięwzięcie, zdając sobie jednocześnie sprawę z faktu, że niezależny i potrafiący oceniać wszystko w kategorii moralnej umysł będzie najlepszym narzędziem do tworzenia doskonałych ludzi, takich, jakich potrzebujemy. – Kobieta z lekkim niedowierzaniem zwróciła wzrok w stronę Bradleya, lecz utkwiał jedynie na niebieskich pierścieniach za jego plecami, każąc każdemu potencjalnemu zebranemu zaciekawionemu jej emocjami ślepo zgadywać, o czym myślała w tej chwili. – Stworzyłaś dwadzieścia cztery niesamowite wzorce, na których bazował projekt SC-A. Kwestia konwencjonalna, opracowanie dziesięciu tysięcy wzorców, należy do ciebie. Macie dwa tygodnie. Wtedy rozpoczynamy produkcję, którą będę nadzorował osobiście. Do tego czasu zostawiam was samych.

– Kiedy wyruszamy? – zapytał Davies, wyciągając do przodu rękę; zsuwający się rękaw laboratoryjnego fartuchu

odsłonił złoty zegarek pełniący między innymi także funkcję kalendarza.

– Jutro z samego rana. Dzisiaj macie czas na zapoznanie się z projektem i pożegnanie z waszymi rodzinami. Prom już na was czeka. – Rozejrzał się po swoich pracownikach, niczym surowy ojciec protekcyjnie wyrażający troskę. – Lepiej wykorzystajcie dobrze ten wolny dzień, przez następne tygodnie czeka was mnóstwo pracy...

*Londyn, Anglia. 10 listopada 2059, ten sam dzień*

Wiatr ją popędzał, zakradał się w jej myśli, każąc podejmować tylko najbardziej konieczne decyzje, dzięki którym – mimo iż rozpadnie się prawie wszystko – najcenniejsze dla jej pełnej wątpliwości duszy wartości i najbliższe sercu skarby pozostaną nietknięte. Zapach jesiennego powietrza – od wielu lat pozbawionego świeżości, poszlak zapachu drzew i wydających ostatnie tchnienie liści – wydawał się jej bliski, ale od tak dawna wiele rzeczy nie pozwalało cieszyć się jego obecnością... Wciąż miała przed oczami wielkiego dęba zamieszkującego jej dziecięce podwórko, który niegdyś dumnie rozpościerał swoje gałęzie, mozaiką liści zacierając monotony widok zabieganej, lecz

wciąż nie do końca mechanicznej ulicy. Dzień, w którym jej ojciec kazał go ściąć i zastąpić lepszym (jak mówił) drzewem, które zawsze będzie zielone, piękne, niewymagające troski i pielęgnacji, zmieniające układ gałęzi niemal na zawołanie – dzień, w którym klarownie ujrzała ulicę, niczym jaskrawo przystrojoną smutkiem prawdę o rzeczywistości, uświadomił jej, co powinna w życiu robić... Od tamtego dnia, próbując zagubić wzrok wśród gałęzi sztucznego drzewa, czekając na dającą jej szansę do działania dorosłość, wpatrywała się w przeraźliwie jasną ulicę, gdzie coraz więcej ludzi nie posiadało twarzy, tylko ruchome maski, gdzie krzyki i odgłosy biegających dzieci wydawały się zupełnie nie na miejscu, aż w końcu zdając sobie z tego sprawę całkiem zamilkły. Nawet jej matka – anielskim głosem śpiewająca kołysanki w drodze do krainy dziecięcych snów, żyjąca z sercem na otwartej dłoni i zawsze potrafiąca spojrzeć sobie w oczy patrząc w lustro, której nigdy nie podejrzewała o to, że pozwoli zastąpić siebie robotem – zaczęła nieprzerwanie przebywać w domu. Wyglądała tak, jakby traciła duszę, jakby sposób życia, z którego zrezygnowała, pozbawił ją sił; lecz to nie była prawda – zrozumiała to w chwili, kiedy zobaczyła ją zupełnie białą, wyglądającą jak wyłączony robot... gdy ojciec powiedział, że

była chora i musiała umrzeć. Doczekała się dorosłości... lecz nie takiej, jakiej pragnęła.

Weszła do sklepu, ukradkiem przywitała się z niemal nieruchomym sprzedawcą i ruszyła do przedziału z zabawkami dla dzieci. Zatrzymała się przy module z bajkami, ujęła kilka z nich w dłonie i przekartkowała, patrząc na okładki; odłożyła i wzięła następne. Chciała wybrać idealną bajkę, żeby jej dzieci pamiętały ją tak, jak ona pamięta swoją matkę. Przez następne kilka miesięcy może jej nie zobaczą, a nie pozostało jej wiele czasu, żeby wrócić.

– Proszę wybrać dwie zamiast jednej.

Odezwał się głos za jej plecami. Zaprojektowano go tak, żeby wydawał się naturalny, lecz Sophie nie sposób było zamydląć oczu – wszystko, co nie posiadało głębi, stanowiło dla niej sztuczność i zakłamanie.

– Jest promocja. Jeśli kupi pani jedną, drugą otrzyma za połowę ceny. To samo dotyczy zabawek pluszowych z czerwoną nalepką...

Dzięki MEJBA stała się tak bogata, że nie musiała tutaj być, mogłaby wysłać robota, który wykupiłby wszystkie zabawki w tym sklepie, a jednak poświęciła czas, by coś wybrać dla swoich dzieci; i nie chodziło jej o przedmioty, których tak naprawdę nie potrzebowały, lecz o swoją obecność

i nade wszystko czas, który jest najcenniejszą rzeczą, a tak niewiele go jej zostało. To dlatego chciała wybrać wyjątkową bajkę, lecz żadna nie była aż tak dobra, by pokazać im świat, który dla nich wymarzyła.

– ...promocja obowiązuje do końca miesiąca... – Robot przerwał, kiedy zarejestrował spływającą po policzku kobiety łzę, i włożył dwa palce do kieszeni marynarki, by wyjąć z niej paczkę chusteczek, którą w następstwie podał klientce.

– Nie, dziękuję – odpowiedziała, odkładając bajki na półkę. Jedną z nich pozostawiła w dłoniach. – Chcę kupić tę bajkę.

Niechęć do samochodów od zawsze zmuszała ją do pieszych wędrówek, jednak króćący się czas zamienił je w jazdy metrami, coraz bardziej przypominające statki kosmiczne, na których niemal nieprzerwanie spędziła siedem ostatnich lat pracy. Po tym, jak wróciła do domu i przywitała się z Aaronem, sześciolletnią Lucy i trzyletnią Caroline, zrobiła obiad, choć w ułamku sekundy mógł ją wyręczyć w tym stary robot kuchenny – wielka przypominająca mikrofalówkę skrzynka z przymocowanymi pojemnikami na potrawy, w innych domach od dawna zastąpiona mechanicznymi humanoidami. Po spacerze i zabawie z dziećmi, kiedy kładła je spać, przeczytała im bajkę.

– Mamo?

– Tak, kochanie? – Pogłaskała po główce swoją starszą córeczkę. Młodsza, Caroline, drgając powiekami, wciąż odtwarzała zakończenie opowieści w swojej niewinnej wyobraźni. Obydwie, skulone w jej objęciach, stanowiły najpiękniejszą rzecz, jaka spotkała ją w życiu, warty poświęcenia i prawdziwej miłości skarb, tak cudowny, że niezależnie od ceny jego posiadania, nigdy nie wolno jej było płakać.

– A oni przeprosili potem tego chłopczyka z papieru?

– Tak, Lucy, nie tylko przeprosili, ale także zbudowali mu dom, taki z tektury. Z tej samej tektury, z której oni byli zrobieni.

– I zamieszkała w nim ta papierowa dziewczynka? – zapytała wielkimi rozmarzonymi oczkami Caroline.

– Tak, i już nigdy go nie zostawiła. Zamieszkali tam na zawsze, mieli nawet papierowego pieska.

Lucy jęknęła w zamyśleniu, po czym zapytała:

– To dlaczego w bajce tego nie ma?

– Kochanie, a co twoim zdaniem znaczy „szczęśliwie”? Bo tak skończyła się ta bajka, pamiętasz? „Żyli długo i szczęśliwie.”

– A my też będziemy żyć długo i szczęśliwie? – zapytała Caroline.

– Tak, maleńka, będziemy. – Pochyliła się i pocałowała Lucy w czoło, następnie wzięła w ręce młodszą dziewczynkę i zaniósła do przeciwległego łóżka. – Już pora spać. – Pogładziła dłonią czółko Caroline i obdarowała je buziakiem, który sprawił, że jej córeczka odwróciła się na bok i ze słodkim uśmiechem zamknęła oczka.

– Mamo... – wyszeptała Lucy, kiedy Sophie chciała opuścić pokój. Wróciła do łóżka dziewczynki i usiadła na skraju. – Na długo wyjeżdżasz?

– Mówiłam ci już, kochanie. – Odgarnęła jej włosy z policzka. Po zgaszeniu lampki nocnej księżyc nie potrafił rozświetlić jej twarzy, i jedynie odbijając swój blask od jej oczu, utworzył dwa błyszczące punkciki stanowiące źrenice dziewczynki.

– Będę tęsknić, mamusiu.

– Ja też, kocham was. – Pocałowała ją jeszcze raz i wyszła z dziecięcej sypialni. W drodze do swojego pokoju, gdzie miała kochać się z Aaronem i dać wytchnienie łaknieniu bliskości, przystanęła przy drzwiach toalety. Wiedziała, że zostawiła w środku torebkę, ale bała się tego, co znajdowało w środku; i choć doskonale to знаła, każdego dnia przyglądała się temu i nie wierzyła, że jej doskonałą rodzinę spotka zły los (choć ze wszystkich scenariuszy wołała właśnie ten, że ów zło



dotnie ją najbardziej). Próbując naiwnie uchronić Aarona i dziewczynki przed nieuniknioną, walącą pięściami w drzwi ich rodzinnego domu prawdę, nie powiedziała im, co się dzieje.

Weszła do łazienki, w myślach bijąc się sama ze sobą, że wybrała niewłaściwą bajkę, nie taką, przy jakiej powinny zasypiać jej dzieci, znów sobie powtarzając, że gdyby miała czas, sama wymyśliłaby lepszą. Ale to właśnie czas był tym, czego już być może nigdy im nie podaruje, bo gdy rano się zbudzą, jej już nie zastaną. A ich dziecięca nadzieja będzie towarzyszyła ich czekaniu na swoją kochaną mamę – to właśnie przed tą nadzieją Aaron nie będzie w stanie ich uchronić, kiedy okaże się, że ich mamusia nie wróci.

Otworzyła leżącą na skrzynce służącej do błyskawicznego czyszczenia ubrań torebkę i wyjęła z niej ładnie poskładaną lecz wymiętą kartkę. Jak za każdym razem, tak i teraz powtarzała sobie to samo zdanie, nie pamiętając, czy ktoś jej je powiedział, czy sama je wymyśliła – robiła to, bo tylko te słowa dawały jej siłę by się nie poddać:

– Nigdy nie jest tak źle, żeby nie było szansy wszystkiego zmienić. – Łkający szept przebił się przez na wpół zaciśnięte zęby, a wzrok kolejny raz powędrował na kluczowe zdanie zapisane na kartce przed nią, wyrażające przewodnią myśl ostatnich miesięcy jej życia i wyrok mający według jej lekarza

prowadzącego niebawem je zakończyć: – Rozpoznanie kliniczne: Zaawansowany guz lewej półkuli mózgu.

*Apartament Daviesa – wyspa Lewis, Anglia. 10 listopada 2059,  
ten sam dzień*

Drzwi zasunęły się za nim, emitując dźwiękiem sygnał blokady, a oczy mężczyzny skierowały się na zmierzającą w jego kierunku, oświetloną zielonym światłem bijącym z wiszących w powietrzu ekranów, postać. Mechaniczny mężczyzna średniej budowy, ubrany w połyskujący garnitur podszedł do Daviesa i wbił w niego swoje puste oczy, wypełniając ten gest gumowym uśmiechem.

– Witam, panie Alexandrze – powiedział, akcentując swoim syntetycznym głosem słowo „panie”. – System przygotowany.

– Nie, Jayden. Muszę chwilę odpocząć.

Niemal w tej samej chwili zielone ekrany znikły, odsłaniając pejzaż mieszkania, które wyglądało tak nietknięcie, jakby Davies wcale w nim nie mieszkał: granatowe kanapy otaczały stół z wdziękiem należnym luksusowym produktom czekającym na uwagę godnego pana, jakby zupełnie przeoczyły moment, w którym ktoś przyniósł je do

apartamentu; stół dumnie dźwiżył ustawiony na podłużnym odnózu poruszający się model układu słonecznego, wykonany z czystej platyny, której cena wiele lat temu kilkakrotnie przewyższyła cenę złota; przy samej ścianie, naprzeciwko drzwi kuchennych, rozpościerała się meblościanka koloru czarnego wenge, gdzie połyskujące statuetki żarliwie walczyły ze sobą o miano najważniejszej, choć ich właściciel wieki temu o nich zapomniał.

– Manhattan z podwójnym wermutem – powiedział, przechodząc przez próg kuchni, a po sekundzie na podstawce stojącego na blacie urządzenia, przypominającego antyczny automat do kawy, pojawił się pomarańczowy napój w koktajlowym kieliszku. – Dziękuję. – Uniósł drinka, spoglądając na wyłożoną białymi kafelkami, sięgającą poza osłonę aneksu ścianę, po czym upił łyk, następnie marszcząc czoło. – Czarne kafelki wyglądałyby lepiej. – W tej samej chwili ściany kuchni przybrały kolor idealnej czerni. – Zmniejsz nasycenie... jeszcze trochę... o, teraz w sam raz.

Wracając do salonu, w przejściu natrafił na Jaydena, który wciąż uśmiechał się, jakby dopiero zrobiono mu przegląd techniczny.

– Dzwoniła pana żona. Powiedziała, że to pilne.

– Po pierwsze „była” żona, a po drugie niech dzwoni na mój mobilny telefon.

– Nie chciała przeszkadzać panu w pracy.

– Dobra, rozumiem. – Uniósł otwartą dłoń na znak stopu, uświadamiając mu (o ile to właściwe określenie), że nie potrzebuje więcej informacji. Ominął robota i rozsiadł się wygodnie na kanapie. – Połącz mnie z nią.

Jayden spojrział w pustą przestrzeń przed Alexandrem i w tej samej chwili w tym miejscu pojawił się wielki ekran koloru zmatowiałej zieleni.

– Wykonuję połączenie... – powiedział, a po dłuższym milczeniu dodał: – Nie odbiera.

– Daj spokój, Jayden, dzwoń. Kiedy skończy mi się drink, pójdę się odświeżyć, do tego czasu rozmowę z Natashą chcę mieć z głowy.

– Tak jest... tym razem się udało...

Na wielkim ekranie pojawiła się ładna twarz ciemnookiej kobiety w średnim wieku, choć zupełnie pozbawionej zmarszczek. Jej kasztanowe włosy połyskiwały świeżo odbytym zabiegiem odżywiającym, a wyraz twarzy wyrażał intensywne zniecierpliwienie.

– Alex – odezwał się dojrzały mezzosopran, przyprawiający mężczyznę o wielowymiarową niechęć. – Nie wyglądasz za dobrze.

– Wyglądam jak zawsze – odpowiedział tak beznamiętnie, jakby to zdanie było do bólu wyuczoną reakcją na wszelkie objawy poczucia winy jego żony, głównie na pytania o jego samopoczucie, zupełnie niepotrzebne, gdyż już dawno pogodził się z faktem, że każdy człowiek jest egoistą. – Ile razy mam ci powtarzać, żebyś nie dzwoniła do mojego apartamentu, kiedy jestem w pracy?

– Od kilku lat nie mam pojęcia, kiedy pracujesz, a kiedy nie...

– Fakt, że po tak długim czasie wciąż ci to przeszkadza, jest wyłącznie twoją winą – przerwał. Wyraz twarzy Natashy stracił nagle na pewności siebie, nawet jej włosy wydawały się mniej połyskiwać. – Po co dzwoniłaś?

– Chciałam ci przypomnieć, że twój syn ma dziś wieczorem koncert.

– Tak, pamiętam... – nim dokończył swoje kłamstwo, w umyśle zdążył stworzyć dziesiątki powodów, by tam nie iść, lecz zabrakło mu ochoty na wybranie jakiegokolwiek. – Nie mogę...

– Musisz – przerwała, odzyskując pewność siebie. – To pierwszy koncert w Akademii Narodowej. Przecież wiesz, jak długo pracował i ile włożył starań, żeby się tam dostać...

– Nikt mu nie kazał!

Jego krzyk zwiastował chwilę ciszy, po której kontynuował równie podniesionym tonem:

– Ma mnóstwo pieniędzy, może robić, czego zapragnie, mógłby kupić całą tę zasraną akademię, a on się uparł, żeby płaszczyć się przed pajacami. – Spróbował zrobić kolejny niekontrolowany łyk, lecz tumbler nagle okazał się być pusty.

– Jayden, przynieś mi kolejnego manhattana... albo nie! krwawą merry, na tę szczególną okazję!

– Nie poznaje cię. – Głos Natashy zbliżał się ku rozpaczcy. – Mówisz, jakbyś w środku stał się martwy.

– Posłuchaj. – Uniósł dłoń, a robot wręczył do niej szklankę. – Ja w jego wieku spędzałem noce w laboratoriach, żeby on dzisiaj mógł żyć jak król. Możesz mówić, że jestem martwy, ale gdyby nie ja, on nie mógłby sobie pozwolić nawet na tą zaściankową akademię, bo gdyby nie ja, on by się nie urodził. – Zrobił głęboki łyk krwistego napoju i odetchnął, patrząc z dumą na zdeorientowany wyraz twarzy kobiety. – Taka jest prawda, jesteśmy żalonym prochem, rodzimy się przypadkiem i przypadkiem umieramy, cała nasza świadomość

jest wytworem naszego umysłu, błędem w ewolucji, który utrudnia tylko nasze życie, oparte głównie na kopulacji. Liczy się przetrwanie, ja mu je zapewniłem, a on odwdzięcza się kretyńską wiarą w wyższe cele człowieka.

W oczach Natashy pojawiły się łzy – znów ją niszczył, zawsze tak robił, kiedy rozmawiała z nim o czymkolwiek, co choć w najmniejszym stopniu obejmowało tematykę ludzkich marzeń i wartości. Wciąż nie mogła uwierzyć, że jego ślepa apodyktyczność kiedyś nie przeszkadzała im być małżeństwem, choć z drugiej strony chyba raczej przeszkadzała, skoro po piętnastu latach małżeństwa w końcu się rozstali.

– Nicolas nie chce cię do niczego przekonywać, prosi cię o zwykłą obecność. Brakuje mu ciebie, oddaliłeś się od nas. Elizabeth też to czuje.

Przypomnienie mu o tym, że ma córkę, wprowadziło go w niesmak – nie chodziło ściśle o jej osobę, ale o fakt, że uparła się, by zostać tancerką. Tancerkę w zimnym świecie robotów, transakcji i skurwieli można określić tylko najniższym stopniem przymiotnika słowa „żałosny”, ale takiego nie wymyślono, bo nikt nie spodziewał się, że ktoś marzy o tym, żeby tańczyć.

– Wyrażanie, jak ty to nazywasz, piękna w świecie, który zupełnie go nie posiada, jest najbardziej idiotyczną rzeczą, jaką można sobie wyobrazić. – Zrobił kolejny głęboki łyk, którym opróżnił szklankę, i właśnie przypomniał sobie, jak bardzo przyjemne jest wygarnianie komuś tego, co leży na sercu. Uśmiechnął się sam do siebie. Natasha zaczęła płakać, to wprowadziło go w jeszcze lepszy nastrój. – Nie ma sensu się okłamywać, złotko, wszystko ma swoją cenę.

– Zawsze to ja czytałam im bajki, a one chciały usłyszeć też twój głos...

– Przestań się pograżać. Świat, który im pokazujesz, opiera się na wymysłach, jest kaleki i zakłamany.

– Więc stwórz lepszy...

Ekran znikł, Natasha rozłączyła się, choć Davies nie spodziewał się takiej reakcji z jej strony, a już na pewno nie w momencie, w którym zaczynał się dobrze bawić. Nie zastanawiając się niepotrzebnie nad tym przez ani jedną chwilę, poszedł do łazienki. Szare kliniczne pomieszczenie nie posiadało niczego poza umywalką, półką z kosmetykami, lustrem, kabiną czyszczącą, ubikacją i okrągłą obręczą ustawioną nad koszykiem, do której wrzucił swoje ubranie. Czujnik wypełnił obramowanie niebieskim światłem, a ubranie po przejściu przez nie wpadło do koszyka – było już czyste i



pachniało świeżością, a materiał niewymagający prasowania po wyjęciu z laserowej kabiny pozwalał je od razu na siebie włożyć. Ujął w dłoń marker zastępujący legendarną szczoteczkę do zębów i białym światłem przejechał do zębach, po czym przepłukał usta wodą. Na pożegnanie wizyty w łazience przyjrzał się swojej pomarszczonej śladami czasu twarzy, skąpanej w siwiejących włosach. W tej samej chwili pomyślał o projekcie SC-Omega i zaklął w duchu. Po tych wszystkich latach, które poświęcił dla MEJBA, tak się odwdzięczają... kradną te, które jeszcze pozostały.

– Cholerna planeta. Zrobimy to szybko i wracamy z powrotem.

*Port kosmiczny Pionier – Północno-zachodnia Walia. 11*

*listopada 2059, następny dzień*

Dookoła rozbrzmiewał wydźwięk dziesiątek silników fotonowych, które od kilku lat umożliwiały ludziom rekreacyjne podróże na Marsa – centrum cybernetycznej rozrywki, najbardziej popularny i prestiżowy, niemal jedyny akceptowany sposób spędzania urlopów dla mieszkańców niemal zupełnie pozbawionej zieleni ziemi, i jak każdy istniejący luksus, przeznaczony został jedynie dla klasy

wyższej. Sztuczna atmosfera, syntetyczna flora w postaci niespotykanej nawet w okresie jury oraz zapierające dech w piersiach wizualizacje fauny prezentującej najbardziej absurdalne pomysły istot fantastycznych (bardziej lub mniej przypominających ludzi) pozwalały odrywać się od pracy, którą większość aranżowała w domach, z pozycji leżącej sterując robotami wykonującymi za nich niemal wszystkie obowiązki. Fantazja każdego biednego człowieka – podróż na Marsa i ujrzenie form życia innych niż roboty albo ludzie – lub dla tych, którzy jeszcze pamiętają czasy istnienia zoo, parków, lasów, szansa przypomnienia sobie iskrzących lat młodości, położenie się na plaży, na której piasek (po eliminacji terenów nadbrzeżnych przez urbanizację człowieka w połączeniu z naturalnych działaniem przyływów) wydaje się być złotem, jaki na ziemi można jeszcze zobaczyć tylko w niezamieszkałej od lat Afryce, czerwonej strefie, gdzie temperatura przez totalne zdegradowanie strefy ozonowej permanentnie przekroczyła osiemdziesiąt stopni Celsjusza. A wszystko przez rozwój technologii i nieustanną podróż człowieka w stronę coraz to większych osiągnięć – to z tego samego powodu Sophie Collins dziesięć lat temu, po świeżo rozpoczętym doktoracie z botaniki, została zmuszona rozpocząć drugi z zakresu genetyki, który dał jej posadę w MEJBA i po

niedługim czasie pozwolił wspiąć do najwyższego kręgu naukowców. To właśnie przez ów technologię, mijając się z powołaniem, znalazła się tutaj i pośród wydźwiku silników fotonowych czekała na rozpoczęcie przygotowań do startu jej promu, mające zostać ogłoszone w wielkich megafonach, przekraczających bezpieczną dla uszu dawkę decybeli.

– Mamy jeszcze czas – powiedziała do męża, który opierał się o maskę pojazdu Sativ Pro – najbardziej zbliżonego wynalazku do starych samochodów, które jeszcze nie posiadały generatorów elektrycznych zsynchronizowanych z ciągnącymi się pod powierzchnią nawierzchni drogowej szynami, umożliwiającymi osiąganie zawrotnych prędkości (przy których zwrot „wiatr we włosach” zmienił się w określenie „urwanie głowy oporem wiatru”) oraz bezkolizyjność, przy której nikt nie mógł opuścić własnego pasa jezdni albo zbliżyć się na niebezpieczną odległość do innego pojazdu, człowieka czy robota.

– Przy tobie już dawno nauczyłem się, że słowo „czas” oznacza „chwilę”. – Silną dłonią objął jej szyję, a spowite zapachem jaśminu włosy oplotły jego palce. Spojrzał w jej bystre szafirowe oczy, poetycko w nim zakochane. – Chciałbym zatrzymać cię na zawsze...

– Nie to obiecywaliśmy sobie na naszym ślubie, prawda? – Przejechała dłońmi po jego marynarce, dwoma palcami złapała krawat i wyprostowała go, próbując zająć czymś ręce, by przybić do nich wzrok i nie spojrzeć zbyt głęboko w oczy swojego męża, bo wtedy mógłby wyczytać z nich prawdę o tym, jak krótkie potrafi być „zawsze”.

– Obiecywaliśmy sobie miłość, i moja cię nie opuści, choćbyś miała nigdy nie wrócić.

Jego słowa sprawiły, że się zaśmiała; to dało jej odwagę, by spojrzeć w jego oczy. Znad wielkiego nosa i idealnie ogolonej brody (pomimo tak krótkiego poranka) wpatrywały się w nią. Zawsze mogła w nich tonąć, na bezwietrznym morzu jego duszy dryfować w nieznane lecz bliskie sercu przystanie; nawet wtedy kiedy jeszcze nosił okulary, nim operacyjnie przywrócili mu doskonały wzrok – to dla niego nie nienawidziła ludzi, on ją ocalił; i wciąż uwięziona między ich utopijną krainą marzeń a zmechanizowanym siłą twórczą człowieka światem potrafiła odkrywać znaczenie słów „być kochaną”. Ale teraz chciała się przed nimi schować, bo wiedziała, jak dobrze ją znały – tak bardzo, że widziały w niej prawdę, o której nie chciała mu powiedzieć. Zmierzwiła jego niekrótkie czarne włosy, czując w głębi, że robi to ostatni raz.

– Zaopiekuj się Lucy i Caroline, kochaj je tak mocno, jak kochasz mnie.

– Kochanie... – Wierchem dłoni delikatnie pogładził jej policzek, dostrzegł nutę smutku pośród czystego szafiru jej oczu. – ...mówisz tak, jakbyś miała nie wrócić. A to tylko kilka tygodni, może miesięcy. Stęsknisz się tak bardzo, że po powrocie rzucisz tą pracę.

– Ale chcę to usłyszeć...

Palcem wskazującym skierował jej policzek w górę, by gubiące się oczy odnalazły przystań w jego wzroku, po czym wyszeptał tak ciepło, jak tylko potrafił:

– Jak mógłbym ich nie kochać? W każdym ich uśmiechu, spojrzeniu, najdrobniejszym geście widzę ciebie.

Przytuliła się do niego, ściskając go z całej siły, próbując zagubić gdzieś daleko myśl, co się wydarzy, kiedy rozrywające się z powodu jej odejścia serce będzie musiało kiedyś o niej zapomnieć. Ale wierzyła, że odnajdzie tą cząstkę niej samej, która pozwoli mu dalej żyć i kochać ich córeczki. Tylko jak ma być szczęśliwy... bez niej?

Za ich plecami rozległ się świst śmigła helikoptera i niemal w tej samej chwili w wielkich głośnikach megafonowych pojawiła się kobieta, lecz całkowicie pozbawiona wdzięku, komenda:

– Prom naukowy Speeder F18 organizacji MEJBA gotowy do startu, Alexander Davies i Sophie Collins proszeni są o udanie się na pokład. Powtarzam: prom naukowy SpeederF18 organizacji MEJBA gotowy do startu, Alexander Davies i Sophie Collins...

Już czas się pożegnać, tylko jak to zrobić? Jak pożegnać kogoś, kto bez ciebie nie potrafi żyć, a ty bez niego jesteś tylko cząstką tego wszystkiego, co spotkało cię w życiu, bo wszystko, co najpiękniejsze, pochodzi właśnie od tej osoby? Sophie przytuliła się do Aarona, pomyślała o Lucy i Caroline, ich śpiących twarzyczkach, na które rano patrzyła, prosząc jakąś siłę wyższą, jakiegoś boga, żeby je ocalił, choć nigdy nie wierzyła w jego istnienie – zawsze za przyczynę wszelkiego dobra brała anielskie struny ludzkiego serca, raz na jakiś wybrzmiewające pełną nadziei pieśń miłości, pomiędzy strofami której ludzi trzeba po prostu kochać na siłę.

– Kocham was. – Nie czekając na odpowiedź, odwróciła się od męża i minęła barierki. Łza w jej oku podrygiwała niespiesznie wraz z krokami, zbliżającymi ją do stojącego w pozycji poziomej promu z wygrawerowanym granatowym napisem MEJBA, pod którym mniejszymi literami na tę samą długość znajdowała się przepelniona cyframi i literami nazwa modelu Speeder, pochodzącego z najnowszej serii pojazdów

początkowo produkowanych wyłącznie dla NASA. MEJBA miała jednak do dyspozycji o wiele bystrzejszych, a zarazem przebieglejszych naukowców, pozyskiwanych sieciami zarzucanymi przez łowców talentów na całym świecie – oni ulepszyli także sondy NASA serii Pion, i to właśnie jedna z nich, AK134, odnalazła Sanatris. Speedery posiadały trzy działa fotonowe: jedno główne i dwa mniejsze obrotowe, które pozwalały jej startować z pozycji poziomej, a także płynnie lądować (dzięki sztucznej grawitacji nie przeszkadzało to załodze od samego wejścia na pokład czuć się swobodnie).

Po zaniku poszlak dotyku ciepłych i opiekuńczych dłoni jej męża, jedyną fizycznie namacalną cząstkę życia Sophie stanowił uchwyt walizki, która potęgując potencjał energii kinetycznej dłoni, poruszała się niemal bez wysiłku w kierunku drogi, lewitując kilkanaście centymetrów nad ziemią. Kiedy znalazła się w połowie drogi do promu, z helikoptera (którego dwie mieszczące śmigła obręcze na moment zamilkły) dumnym krokiem wyszedł mężczyzna w czarnym połyskującym płaszczu i przyciemnianych okularach, osłaniających jego oczy przed wiatrem, słońcem, a także przed ludźmi, twierdzącymi że są one zwierciadłem duszy i w rzekomo altruistycznej trosce zadającymi pytania dotyczące przepelniającej go (lecz tak naprawdę urojonej w ich

umysłach) pustki. A pustka w rzeczy samej nie miała się jego osoby: pomimo niemal sędziwego wieku był szanowanym naukowcem, który z dumą patrzył na wszystko, co stanowiło jego zasługę; niewzruszony i nieustraszony, posiadający zasady, lecz pozbawiony wartości, miał wszystko to, co było warte uwagi, ale nie zalatywało poetyzmem, wspaniałomyślnością albo naiwnością; doskonale zdawał sobie sprawę z tego, że świat jest niczym więcej jak tylko chwilowym stanem rzeczy, pozornie prawdziwym jedynie z subiektywnego punktu widzenia. W ogóle nie przejmował się tym, że jego helikopter wylądował na polu startowym dla promów, wiedział, że nikt nie zwróci mu uwagi, i nie chodziło o jego pozycję społeczną, tylko oporną osobowość, z pozoru zubożoną, lecz bezwzględna, jeśli wejść jej w drogę. Ściskając w dłoni uchwyt walizki, ruszył przed siebie tak dumny jak wiatr, który rozwiewał spód jego płaszcza. Oto on, Alexander Davies, którego diabelskie struny serca nigdy nie wygrywały pełnej nadziei pieśni miłości.

– Witaj, Sophie – powiedział, kiedy pozostawiony przez niego helikopter powrotnie zrywał się do lotu. Zamiatane powietrze rozwiało kobiecie włosy i odsłoniło idealnie jasną cerę. Jej oczy (które szybko otrzymały sygnał, że zaczął się kolejny dzień pracy i między duszą a światem trzeba postawić



mur) popatrzyły na swojego współpracownika formalistycznie, uniemożliwiając mu odczytanie chociażby jednego wersu snutego przez wciąż nie mogące się pogodzić z nieuchronnością spraw myśli.

– Cześć, Alexander. – Nie przystając nawet na ułamek sekundy, uświadomiła Daviesowi, że nie zamierza wymieniać z nim (nie)grzeczności (jak z kimkolwiek z współpracowników) i tylko służbowy cel ich spotkania ją interesuje.

– Wciąż przeciwna inicjatywie projektu? – zapytał, gdy znaleźli się przy metalowych schodach, prowadzących na pokład promu. Sophie przystanęła w połowie i odwróciła się w stronę towarzysza w akcie dezaprobaty:

– Z całym szacunkiem, ale jeśli w tej organizacji istniałaby chociaż jedna osoba, którą interesowałoby moje zdanie, z pewnością nie byłbyś nią ty. – Odwróciła się i pośród postukiwania obcasów wkroczyła przez uniesiony właz do środka pojazdu. Przystanęła przed wewnętrznymi drzwiami i zręcznym ruchem przyłożyła dłoń do laserowego skanera, który ją zidentyfikował. Dopiero kiedy towarzyszący jej Alexander zrobił to samo, drzwi rozsunęły się. Wklęsłe sine ściany zaprowadziły ich do przytulnej poczekalni, nadziewanej wygodnymi krzesłami (w dobre wynaturzonego

bezpieczeństwa pojazdów pozbawionymi pasów), wyposażonej w stół, gdzie leżały dwie talie kart, w wyniku czego miejsce przypominało bardziej nowoczesną kantinę niż sektor pokładu promu kosmicznego. Większość ścian zasłonięto interaktywnymi obrazami – gdzie kolory uwięzione za szklaną szybą nieustannie tworzyły zmieniające się pejzaże, odzwierciedlając kontrast cech zawartych w nich cieczy (nie mogących ulec kompletnej syntezie i wciąż podlegających szeregowi tych samych reakcji) – symbolami upadku malarstwa, tradycyjnie zastąpionego przez naukę.

Kiedy Sophie usiadła i położyła na sąsiednim krześle torebkę, drzwi poczekalni rozsunęły się i pojawił się w nich idealnie ogolony mężczyzna w poukładanych włosach i zbyt młodej aparycji jak na pracownika MEJBA. Jego twarz natychmiast zajęła właściwe miejsce we wspomnieniu wczorajszego dnia, gnieźdząc się wśród grona wybrańców na sali obrad, z podziwem przytakujących Williamowi Bradleyowi. Davies zajmujący miejsce po drugiej stronie stołu zmierzył młodzieńca wzrokiem, próbując powstrzymać własną niechęć, wmawiając sobie, że nadzorowanie podróży promów to brudna robota, którą ktoś po prostu musi wykonywać, a nikt się nie nada do tego lepiej niż ten jajogłowy delikwent – jednak myśl, że wcale nie uśmiecha mu się długa podróż na planetę,

gdzie poza nudną pracą nie czeka go nic, zostawiła go z wrażeniem, że w MEJBA to właśnie jemu samemu przysługuje wykonywanie najbrudniejszej roboty.

– Myślałem, że te promy sterowane są przez centralę i nie potrzebują przyzwoitki – rzucił z udawaną niepewnością. – Tak mi się wydawało, kiedy nadzorowałem proces przeprogramowywania ich systemu na kompatybilny z komputerem głównym.

– Pan Bradley prosił, żebym osobiście monitorował waszą podróż do bazy – odparł tonem pozbawionego intuicji ucznia, zatopionego lekturze podręczników.

– Mam nadzieję, że nie po to, by umilić nam czas.

Naukowiec złapał w dłoń talię kart, która po osunięciu jednej z nich ruchem kciuka przestała być jednolita i rozsunęła się na wzór wachlarza. Po szybkim ruchu dłoni znów złożyła się w całość, a zupełnie nieporuszony tym zjawiskiem Davies odłożył ją na stół.

– W razie potrzeby będę w kadłubie głównym – zaapelował młodzieniec i wyszedł.

Sophie robiła wrażenie ignorującej ich rozmowę, z nieokiełznanym zamyśleniem na twarzy wpatrywała się w wirtualne okno, pokazujące gwiazdy, które zmieniały się w ledwo zauważalne świecące linie.

– To żenujące – powiedział Alexander, wbijając wzrok w pustą lukę między obrazami.

– Słucham? – zapytała Collins, odwracając się w stronę współpracownika.

– Okno. Każdy kretyn wie, że obraz symuluje mniejszą prędkość, ale nie każdy z tych kretynów zdaje sobie sprawę, że skala prędkości w porównaniu do rzeczywistej wynosi jeden do kilku tysięcy. W świetle faktu, że w ciągu jednej sekundy przebywamy tysiąc lat świetlnych, ta ich aranżacja pomieszczeń aż kłuje w oczy. Mogliby zamieścić zamiast okna jeszcze jeden z tych kretyńskich obrazów.

Sophie zmarszczyła brwi, po czym jej twarz znów przybrała pogodny wyraz.

– Chodzi ci o fałsz, tak? – zapytała. – Pozory? Ale przyznasz, że każdy w jakieś wierzy, każdy ma swoją iluzję. – Znów spojrzała w wirtualne okno.

– I tu się nie zgodzimy. Nie każdy żyje w kłamstwie.

– A William? – Jej inteligentne oczy spojrzały na współpracownika. – Nie powiesz chyba, że jego wiara we władzę nad wszechświatem nie jest złudzeniem?

– Nie bardziej niż wiara w jego duchowy potencjał, jeśli tak mogę nazwać twoje stanowisko w sprawie obrony Sanatris.

– Jeśli uważasz, że to bzdura, to dlaczego mu tego nie powiesz?

– A dlaczego miałbym to robić, skoro jak sama powiedziałaś, każdy ma swoją iluzję?

– Bo jest twoim przyjacielem. Zupełnie nie ruszają cię jego złudzenia?

– Co do przyjaźni, opiera się ona na tym, że bardziej niż inni liczy się z moim zdaniem, a co do złudzeń, jest zarówno moim pracodawcą jak i człowiekiem, który po części doprowadził MEJBA do pozycji, w której teraz się znajduje. I gdyby nie jego pieniądze i spokój, zbudowany dzięki separacji od takich ludzi jak ty, uważałbym całą MEJBA za bezwartościowe gówno, jeśli łaskawie mogę się tak wyrazić.

Uznając, że zakończył rozmowę, strzepnął rękaw płaszcza i odsłonił błyszczący platynowy zegarek. Kiedy złapał go drugą ręką, obręcz przytwierdzająca go do nadgarstka zdematerializowała się, pozostawiając w dłoni tylko okrągły wyświetlacz, który położył na stole przed sobą.

– Wierzysz w logikę – stwierdzenie Sophie, wciąż patrzącej w jego szare i pozbawione zainteresowania rozmową oczy, oderwało go od minikomputera. Rzucił jej zniecierpliwione spojrzenie zażenowanego i zdruzgotanego koniecznością ojcostwa człowieka, który musi przytakiwać swojemu dziecku,

słyszając napływającą falę bzdur, byle tylko przez szczerość nie uniemożliwić jego rozwoju. – Uważasz, że jeśli twoje przekonania będą oparte na czystej logice, to zawsze unikniesz pomyłki.

– Czy jako naukowiec, Sophie Collins, chcesz powiedzieć, że logika nie definiuje praw rządzących światem? W czasach, kiedy ludzie wierzyli, że przed wielkim wybuchem nie było nic, można by na siłę się z tobą zgodzić, ale teraz, kiedy fizyka kwantowa wyjaśnia proces wyłania się uporządkowanych cząstek z zupełnego chaosu, określając za pomocą namacalnego wzoru powstanie czegoś z niczego, na twoje stanowisko nie ma miejsca. Nim się urodziłaś, naukowcy zabijali się w walce o to, która dziedzina najlepiej opisuje świat, ale zdefiniowanie nieskończoności zburzyło podwaliny wszelkich ucieranych od wieków definicji. Wszystko to prowadzi do tego, że w całym wszechświecie nie ma nawet najmniejszej luki na podejrzenia, iż istnieje cokolwiek, co nie działałoby wedle logiki, jaką zbudowaliśmy za sprawą nauki. Przeczając logice, przeczysz założeniom, na podstawie których prowadzisz tę bezsensowną rozmowę.

Nacisnął jeden z miniaturowych przycisków znajdujących z boku minikomputera, wskutek czego w powietrzu pojawił się ciemnozielony ekran wsparty na strumieniu światła bijącego z

wyświetlacza. Paroma ruchami palca w powietrzu, w mozaice migotliwych zdań i numerów, włączył stronę wypełnioną napisami, wzorami i kodami, zatytułowaną „PROJEKT SC-OMEGA”.

– Teraz proszę mi wybaczyć, ale pozostało mi czterdzieści minut na zaznajomienie się z projektem. Ty już pewnie to zrobiłaś.

Sophie Collins wstała, zabrała z siedzenia obok swoją torebkę i ujęła uchwyt swojej walizki.

– Obyś nie zdążył się pomylić – powiedziała, po czym ruszyła w stronę wyjścia.

– Dokąd idziesz? – zapytał Davies z ukrytym niedowierzaniem.

– Także zaznajomić się z projektem. Nie będę ci przeszkadzać.

Nim drzwi za nią zdążyły się zasunąć, sąsiednie już się otwierały, ujawniając przed Sophie identyczną do poprzedniej poczekalnię. Te same krzesła, obrazy i to samo naiwne okno. Usiadła przy nim, położyła torebkę i zaczęła przyglądać się milionom wirtualnych gwiazd, niczym promienie lasera pojawiającymi się i znikającymi. Nie do końca wiedziała, czy bardziej przeszkadzała jej obecność Alexandra czy myśl, którą pozostawił w jej umyśle: Jak to możliwe, że ludzie wyjaśnili

tak wiele niewiadomych, potrafią przedłużyć sobie życie, budować kopie zapasowe własnych organów, ale nie potrafią stworzyć dla niej nowego mózgu?

Nawet klony zwierząt, które posiadają dokładnie taki sam stan danych w tym organie, nie są tymi samymi istotami. Oczywiście, nikt poza nią w to nie wierzył, ale ona przyglądając się im z bliska, wiedziała, że każda istota, nieważne jak podobna do innej, jest odrębna. To dlatego nie pozwoliła sklonować siebie w celu wyhodowania mózgu do rzekomo możliwej transplantacji – nie da się z dwóch osób stworzyć jednej, to uśmierciłoby zarówno dawcę jak i biorcę. A nawet gdyby się udało, jej córeczki wyczułyby, że to już nie byłaby ona. Nauka definiuje wszystko, ale nie ma pojęcia o duszy... I gdzie w tym wszystkim logika?

*Tajna baza MEJBA, sektor teleportacji – Galaktyka  
Andromedy. Czterdzieści minut później*

Ich oczy spoglądały na maleńki obłok iskrzącej się energii, przybierający obraz kuli, choć jednocześnie wciąż zmieniający kształt, jawiący się tysiącami kolorów, ale nie pozwalający zidentyfikować żadnego z nich. Pomimo sześciu olbrzymich słupów, naszpikowanych światłowodami, zbiegających się w



trzy skrzyżowane łuki w punkcie, przez który hipotetycznie przeprowadzając linię pionowo do podłoża, przecięłaby ona obłok energii; półokręgu komputerów stojących za plecami piątki przyodzianych w białe fartuchy naukowców; i olbrzymich generatorów, mieszczących się w gigantycznych tubach, zajmujących więcej powierzchni niż cała reszta – obłok wydawał się być centrum nie tylko tego pomieszczenia, ale całego wszechświata.

Wysoko ponad ich głowami rozsunęły się drzwi. Tuż za balustradą pojawiały się dwie postacie w czarnych płaszczach. Pierwszą z nich był siwiejący mężczyzna, dumnie patrzący przed siebie, a drugą drobna kobieta o szafirowych oczach, zupełnie niepasująca nie tyle do grona naukowców, co do całego ziemskiego świata. Stukot obcasów Sophie, wydobywający się zza blasku wylakierowanych butów Alexandra, odliczał sekundy do spotkania z grupą czekających na nich naukowców, którzy prowadzili ich wzrokiem w stronę blaszanych schodów, sięgających niemal pod same morze generatorów.

Gdy zeszli na dół, pierwszy przywitał ich najwyższy z naukowców (zrobił krok naprzód, zostawiając pozostałą czwórkę towarzyszy w tyle), którego wypełniająca źrenice ekscytacja graniczyła teraz niemal z obłędem.

– Witaj, Alexandrze – William Bradley poklepał przyjaciela po ramieniu, następnie przywitał Sophie skinieniem głowy. – Panno Collins...

Dwoje z pośród pozostałej czwórki ruszyło w stronę komputerów. Pozostali stanęli obok swojego szefa. Żaden z nich nie dorównywał mu wzrostem, chociaż pierwszy był tak umięśniony, że wydawał się olbrzymem. Miał ogoloną niemal na łyso głowę i grubiańskie rysy twarzy, nie wydawał się być bystry, ale świat pełen specyfików pomagający na niemal każdą ludzką niechcianą cechę osobowości uczynił z niego naukowca, pioniera technologii wojskowej; którego ojciec, ponad trzydzieści dwa lata temu biorąc udział w pracach nad robotami-szpiegami dla NATO, dał mu przepustkę do świata nauki i zapewnił posadę, i gdyby nie sukces wspomnianych prac, jego syn spędziłby z pewnością całe życie na wojnie. Podobnie jak Bradley, pochodził z USA. Drugi mężczyzna, niski i chudy Kanadyjczyk, którego jedynie pomarszczona upływem czasu twarz dawała do zrozumienia, że był, podobnie jak towarzysz, czterdziestoparolatkiem, chociaż hektolitry kofeiny i nikotyny doprowadziły go do ruiny. Kosmyk czarnych poskręcanych włosów przysłaniał jedną z soczewek jego okularów (noszonych raczej z przyzwyczajenia, gdyż od dziesięciu lat na świecie nie było nikogo, nie licząc klasy

niższej, kto posiadałby jakąkolwiek wadę wzroku). Jego historia wydawała się pospolita, przypominała życiorys prawie każdego pracownika MEJBA: studia ukończone na jednym z najlepszych uniwersytetów świata, z jednym z najlepszych wyników, praca dla rządu i światowych korporacji zakończona werbunkiem przez Williama Bradleya do najnowocześniejszej jednostki badań na świecie; następnie pod wpływem długotrwałych relacji został wyłoniony z rzeczy geniuszy i przydzielony do sektora tajnych badań, gdzie stał się jednym z dwudziestu pięciu osób na świecie wiedzących o istnieniu Sanatris.

– Alexandra Daviesa znacie, a Sophie Collins kojarzycie zapewne z wczorajszego zebrania – powiedział William do towarzyszy. – Dotychczas dowodziła zespołem w sektorze rozwoju genetyki. To jej zawdzięczamy powodzenie projektu SC-A. Panno Collins... – zwrócił się do nieporuszonej nadmuchiwaną formalnością przedmowy. – To jest Walter Spelman, sekcja bezpieczeństwa... – Olbrzym o grubiańskiej twarzy podał jej dłoń, następnie przywitał ją jego chudy towarzysz. – Matthew Howard, sekcja łączności i komunikacji. Odbędą podróż z wami.

Cała piątka odwróciła się i podeszła do jednego z sześciu słupów, rozstawionych wokół fioletowej platformy, wykonanej

ze specjalnego stopu materiałów. Za śladem spojrzenia Williama oczy wszystkich skierowały się na błyszczący przed nimi obłok.

– Oto nasz cud – powiedział tak wzniosłym głosem, jakby rozpoczynał kolejne ale zupełnie inne od każdego z poprzednich iluzjonistyczne przedstawienie. – Materia fotonowa, dowód że teoria zależności cząsteczki i fali, krytykowana przez każdego znanego naukowca, który nie sprostał podjęciu rzetelnego sprawdzenia jej hipotezy, okazała się słuszna. Kawałek pola stanowiącego idealną jedność, strzępek przestrzeni więcej wart niż cała ziemia. Garść absolutu, prawdziwej natury wszechrzeczy, do której od zawsze dążyli szaleńcy, oświeceni i wyznawcy filozofii wschodu. Tak, przyjaciele, stworzyliśmy samego Boga. I ten Bóg wyśpiewa nam wszystkie mieszczące się w przestrzeni wszechświata tajemnice. Zaczynajmy!

Davies bez zbędnych ceregieli stanął na podeście, położył walizkę, splótł dłonie z tyłu i unióśł głowę bezinteresownie, przypominając człowieka czekającego na odjazd metra, przeciągającego się czasowo z powodu nieokrzesanych podróźnych, niemogących znaleźć sobie miejsca. Walter i Howard ruszyli w ślad za nim.

– Tylko nie przekraczajcie granicy wewnętrznego okręgu, żeby przypadkiem nie dotknąć ogniska – rzucił William ojcowiskim tonem, w zamyśle przeznaczonym bardziej dla profilaktyki niż wyrażania troski. – Nie potrzebujemy kolejnej czarnej dziury, w dodatku w miejscu naszej bazy.

– To niepotwierdzona hipoteza – stwierdził Davies, patrząc na kobietę, która przystanęła krok przed skrajem platformy. – Długo będziemy czekać, Sophie?

– Spokojnie, Alexander – powiedział Bradley – każdy człowiek posiadający niezaburzony instynkt samozachowawczy, musi zwalczyć opory, by z niezależnej materialnej egzystencji zmienić się w stan kwantowy obcego kawałka materii, w dodatku współtworzony z ludźmi o odmiennych poglądach.

Sophie weszła na podest, po czym spojrzała na Bradleya podporządkowanym, aczkolwiek pewnym siebie wzrokiem naukowca.

– Możemy zaczynać.

– Zatem widzimy się za dwa tygodnie. Proszę do tego czasu przygotować projekt zgodnie z wytycznymi.

Z generatorów dobiegło głośne dudnienie, które odbijało się wzdłuż wysokich ścian pomieszczenia. William Bradley spokojnie patrzył, jak pomiędzy słupami tworzyła się

olbrzymia błękitna kapsuła, mogąca pomieścić sto osób. Z każdą sekundą stawała się coraz bardziej nieprzezroczysta, by po chwili zmienić się w niebieską kulę. Cały podest, na którym stali, zawierał się w środku sfery i po nagłym zniknięciu kapsuły, jedyne co pozostawił po naukowcach to zamierające echo dudnienia generatorów.

.....: Reszta publikacji dostępna w wersji pełnej :.....